

Osiągnięcia III RP są pozorne

Z JANUSZEM KOCHANOWSKIM rozmawia Łukasz Warzecha

W jakim stanie jest nasze państwo?

- W latach 70. wszyscy wiedzieli, że komunizm musi upaść, ale nie uwierzyłem, gdyby mi ktoś powiedział, że stanie się to jeszcze za mojego życia. Dziś, po 20 latach istnienia wolnej Polski, muszę z przykrością powiedzieć, że nigdy nie sądziłem, że przez tak długi czas, przy teoretycznie tak dużych możliwościach, zdołaliśmy tak niewiele.

To niezmiernie surowa ocena. Uroczystości w tym roku będą się odbywać głównie pod hasłem wielkich osiągnięć III RP.

- Surowa - tak, ale czy nietrafiona? Proszę spojrzeć na jakąkolwiek dziedzinę: wymiar sprawiedliwości, edukację, służbę zdrowia. Przecież tu naprawdę nic nie zrobiliśmy. To, co się w tych sferach dzieje, jest jak żywcem - wyjęte z "Procesu" Kafki.

Czy pan trochę nie przesadza? Przecież nasi sąsiedzi często radzą sobie nie lepiej, a czasami nawet gorzej.

- To prawda - zawsze można się pocieszać, że Bułgaria, Rumunia czy Albania mają większe problemy od nas. Ale takie myślenie do niczego nie prowadzi. Powinniśmy się raczej zastanawiać, dlaczego my nie jesteśmy zdolni do skutecznego rządzenia własnym państwem. Zwłaszcza że to my powinniśmy się czuć odpowiedzialni za porażkę czy sukces regionu.

A przystąpienie do NATO i Unii Europejskiej? Czy to nie są wymierne sukcesy?

- Pozornie tak. Ale czy to jest na pewno nasza zasługa? Przecież nie tyle my weszliśmy do tych struktur, co raczej przyjęto nas do nich. Czy jednym z podstawowych powodów przyjęcia nas przez Unię nie było po prostu poszerzenie rynków zbytu? A dodatkowo staliśmy się wygodnym rezerwuarem taniej siły roboczej.

Profesor Lena Kolarska-Bobińska stwierdziła w debacie Faktu o stanie państwa, że dobrze działa dzisiaj podstawowy mechanizm demokratyczny, czyli wybory. Może przynajmniej z tego powinniśmy być zadowoleni?

- Nieprawda - każde wybory to gra znaczonymi kartami. Przecież o ich wyniku decyduje tak naprawdę kształt list wyborczych, a o tym zazwyczaj jednoosobowo liderzy partyjni. Już 800 tysięcy osób podpisało apel o wprowadzenie wyborów większościowych! To olbrzymia grupa obywateli, ale zapewne nic z tego nie wyjdzie, bo wprowadzenie głosowania większościowego oznaczałoby dla partyjnych bossów utratę jednej z ich najważniejszych prerogatyw. To nie leży w interesie żadnej partii.

W dyskusji Faktu profesor Zdzisław Krasnodębski stwierdził, że państwa właściwie w ogóle nie ma, są tylko pozory jego istnienia. Co pan sądzi o tak radykalnym postawieniu sprawy?

- Z przykrością muszę się pod tym stwierdzeniem podpisać. Państwo musi przecież spełniać pewne podstawowe funkcje. Nasze ich nie spełnia albo spełnia w sposób pozorny.

20 lat pokoju mieliśmy pomiędzy pierwszą a drugą wojną światową, tyle samo, co teraz. Wtedy bilans był chyba jednak korzystniejszy?

- Dwudziestolecie powinno nam przede wszystkim przypominać o tym, że nigdy nie wiemy, jak wiele czasu dostajemy. A co do oceny - zgoda, tamte 20 lat to były bardzo konkretne osiągnięcia, by wspomnieć tylko

budowę Gdyni, Centralny Okręg Przemysłowy czy Polskie Koleje Państwowe, których stworzenie wymagało spójenia sieci kolejowych z trzech zaborów. A administracja i sądownictwo wyglądały zupełnie inaczej. To były naprawdę wielkie przedsięwzięcia, którym my dzisiaj niewiele możemy przeciwstawić. Program budowy autostrad to przecież karykatura tego, czego udało się dokonać w II Rzeczypospolitej. Albo weźmy edukację. II RP to często naukowcy o światowej sławie, bardzo wysoki poziom kształcenia uniwersyteckiego i matura, która wyznaczała wyśrubowany standard. A dziś? Uniwersytet Warszawski na trzysta którymś miejscu Listy Szanghajskiej, Uniwersytet Jagielloński jeszcze dalej. Przecież to kompletna porażka.

To, co pan mówi, jest w jaskrawej sprzeczności z opinią części polskich elit, które nieustannie twierdzą, że III RP to pasmo sukcesów, a inaczej mogą uważać jedynie fru-straci. Jest pan frustratem?

- Nie, ja po prostu nie mam złudzeń. I w przeciwieństwie do przedstawicieli elit, o których pan mówi, nie oceniam dokonań państwa przez pryzmat mojej osobistej sytuacji. Znaczna część dzisiejszej polskiej elity została w 1989 roku i później dokooptowana przez komunistów do sfery władzy i wpływów. Dotyczy to zwłaszcza takich grup zawodowych jak prawnicy, część ludzi biznesu, ludzi mediów, o politykach nie mówiąc. Wszystkie te osoby bronią dziś po prostu swojego dorobku i życiorysów. Jak można mówić, że transformacja nie jest sukcesem - oburzają się - skoro jestem dzisiaj sędzią najwyższej instancji, adwokatem kasującym 300 tysięcy za jedną sprawę, magnatem medialnym, ministrem czy wpływowym komentatorem? Nie ma w tym nic dziwnego, taka jest ludzka mentalność. Najsmutniejsze i zarazem najzabawniejsze jest, jeśli niektóre grupy wspominają przedwojenny etos swoich poprzedników i sądzą, że pretensje do tego etosu to to samo, co jego posiadanie. Tak jest choćby z sędziami, którzy uważają, że szacunek i prestiż należy im się nie z racji wysokich standardów etycznych, usilnej pracy i niekwestionowanej prawości, ale z racji samej pozycji zawodowej.

Pomiędzy dwiema siłami politycznymi w Polsce trwa spór o kształt państwa. Platforma, przynajmniej oficjalnie, głosi hasło państwa silnego, ale ograniczonego. PiS twierdzi, że państwa nie można ograniczać, a jego rola w różnych dziedzinach powinna być wręcz wzmacniana i rozszerzana. Za jakim modelem pan się opowiada?

- Zawsze twierdziłem, że aby państwo mogło być silniejsze, jego funkcje muszą zostać ograniczone. Są pewne oczywiste priorytety, na których państwo powinno się skupić: obronność, bezpieczeństwo wewnętrzne, edukacja - ale nie w sensie zapewnienia edukacji, a jedynie zorganizowania systemu, służba zdrowia - też tylko w sensie zorganizowania systemu, infrastruktura drogowa. W wielu dziedzinach państwo powinno odpowiadać wyłącznie za stworzenie reguł i pilnowanie ich przestrzegania, a nie załatwianie wszystkiego za nas, gdyż to do niczego nie prowadzi.

Czy po 20 latach niepodległości odświeżyliśmy własną tożsamość?

- Każdy naród jest określany przez jakieś wydarzenie ze swojej historii. Brytyjczyków do dzisiaj określa rozpad ich imperium. Niemców określają zbrodnie z okresu narodowego socjalizmu. Żydów określa Holocaust. Nas określa wciąż trauma rozpadu naszego państwa, który trwał co najmniej od bitwy pod Połtawą, czyli od początku XVIII wieku. Dwudziestolecie międzywojenne to jedynie epizod, przerwa w spektaklu, kiedy wszyscy wyszli na moment na kawę.

Czy to znaczy, że mamy naszą tożsamość budować od nowa? Na jakiej podstawie?

- Rację ma chyba Jarosław Marek Rymkiewicz, kiedy pisze, że powinniśmy odnaleźć nasz mit założycielski. Takim mitem powinno być Powstanie Warszawskie.

Bardzo ryzykowna propozycja. Robić mit założycielski z tragicznego, przegranego powstania, o które nadal trwają spory, a część Polaków sądzi, że jego inicjatorów należałoby postawić przed sądem.

- Bardzo możliwe, że gdybyśmy wojnę wygrali, to Bór-Komorowski zasiadłby na ławie oskarżonych. Ale z perspektywy czasu powinniśmy na powstanie spojrzeć inaczej, tak jak Żydzi na Holocaust czy Masadę. Wydarzenie skrajnie tragiczne obróciło się z czasem w źródło siły narodu.

Za symbol słabości polskiego państwa uznano w ostatnim czasie sprawę Krzysztofa Olewnika. Słusznie?

- Jak najbardziej słusznie, tyle że sprawa Olewnika była akurat wyjątkowo nagłośniona, ale trzeba pamiętać, że nie była jedyna. Wcześniej była sprawa Romana Kluski, którą nikt w końcu nie poniósł konsekwencji. Była sprawa Rywina, która nie została przecież przekonująco wyjaśniona. A sprawa FOZZ? A sprawa dwóch braci, którym porwano rodziców? Oni, w przeciwieństwie do Olewników, nie mają majątku i dlatego mało kto o nich wie i pamięta. Stanisław Jerzy Lec napisał: Jak najsprawiedliwiej wydać sąd o jakimś państwie? Najprościej - na podstawie jego sądownictwa.

Gdyby tak podejść do państwa polskiego, to ocena musiałaby być druzgocąca. Pora postawić pytanie: co możemy zrobić, skoro jest tak fatalnie?

- Przede wszystkim musimy sobie odpowiedzieć na pytanie, w jakim miejscu jesteśmy i dokąd zmierzamy. Wiem, że to brzmi banalnie i ogólnie i wydaje się, że te pytania padają co chwila. Problem w tym, że odpowiedzi, jakich się na nie udziela, są zwykle sztapowe, nic niewnoszące, wtórne i często nieuczciwe. Po drugie - musimy ustalić, jakie mamy cele krótkoterminowe i długoterminowe.

Jakie zatem powinny być te cele?

- Są trzy takie cele. Pierwszy to zapobieżenie zapaści demograficznej. To zresztą ogólnoeuropejski problem. Jeżeli obecne tendencje się utrzymają, będziemy skazani na kataklizm. Demograficzna zapaść wpłynie na każdą dziedzinę, od systemu emerytalnego poprzez rynek nieruchomości aż po system polityczny, bo przecież zmieni się zasadniczo struktura głosujących. Drugi cel to edukacja, jej jakość i kształt. Podobnie jak w przypadku demografii, to również problem całej Europy.

A trzeci czynnik?

- Ten, który zawodowo najbardziej mnie interesuje: państwo prawa. Obywatele nie mogą żyć bez sprawiedliwości. Bez niej są chorzy. Tymczasem w Polsce sprawiedliwości brakuje. Ludzie, którzy piszą albo przychodzą do biura RPO, często twierdzą, że nie wierzą w naszą dzisiejszą demokrację. W gruncie rzeczy mają rację, choć czasem formułują to w sposób trochę niezborny. Nie wierzą w prawdziwość konstytucyjnej deklaracji, że państwo jest dobrem wspólnym wszystkich obywateli. Zwykłymi Polakami, którzy mi się skarżą i żalą, kierują dwa uczucia. Po pierwsze, poczucie krzywdy i zagubienia w kafkowskim świecie. Po drugie, niezaspokojone poczucie sprawiedliwości. I ja oba te uczucia doskonale rozumiem. Głód sprawiedliwości jest wspólny nam wszystkim.